Profile toruńskie

Maria d'Alphonse

— Od 1945 roku przygotowałam ponad sto premier — tak rozpoczyna swe opowiadanie Maria d'Alphonse znana reżyserka toruńskiego teatru. — Moje związki z teatrem trwają jednak o wiele dłużej. W 1931 r. wstąpiłam do Instytutu Reduty, kierowanego przez Juliusza Osterwę. W zasadzie mógł tam wówczas przyjść każdy, kto chciał być w teatrze. Dopiero później kierownictwo decydowało o losach adepta. Przez cały rok braliśmy udział we wszystkich pracach Instytutu, bywaliśmy na próbach sztuk przygotowywanych przez reżyserów „Reduty".

Nasz okres próbny uzależniony był od dyspozycji jednostki. Pod koniec 1931 roku decyzją kolektywu zostałam przyjęta w poczet członków zespołu. Wówczas chciałam być przede wszystkim aktorką. „Ciągoty reżyserskie" pojawiły się później, kiedy asystowałam Marii Dulębie przy przygotowywaniu spektaklu.

— Czy pamięta pani swoją pierwszą rolę w „Reducie"?

— Zadebiutowałam jako jedna z uczennic w „Murzynie" Szaniawskiego, reżyserowanym przez Romana Zawistowskiego. Przeżyciem była dla mnie spora rola sekretarki w „Teorii Einsteina" Cwojdzińskiego. Później grałam w „Dziewczętach w mundurkach" w reżyserii Karola Adwentowicza. Okres ten dał mi bardzo wiele, choćby dlatego, że zawsze pracowałam pod okiem wybitnych fachowców.

W roku 1934 zdałam egzamin aktorski przed komisją państwową PIST, której przewodniczył Zelwerowicz i postanowiłam pozostać w tzw. Teatrze dla Młodzieży przy „Reducie". Graliśmy przede wszystkim na peryferiach Warszawy i objechaliśmy z naszymi sztukami całą Polskę.



— Wiele mówi się dziś o ogromnej dyscyplinie pracy jaka panowała w „Reducie"...

— To prawda — w Instytucie nie mogło być mowy, aby ktoś opuścił choćby jeden wykład czy próbę sztuki, nawet jeśli nie brał w niej udziału. Przyjmowaliśmy wszystkie prace jakie nam wyznaczono — byliśmy inspicjentami, rekwizytorami, pomagaliśmy w przygotowaniu kostiumów. Już na godzinę przed spotkaniem w garderobie nie można było rozmawiać na tematy prywatne, zaś na 15 minut przed przedstawieniem w ogóle kończono wszystkie rozmowy. Dziś taki reżim może wydawać się śmieszny, ale w sumie nauczono nas wówczas nieodzownego w pracy aktora skupienia.

— Reżyserować zaczęła pani zatem dopiero po wojnie?

— Wcześniej asystowałam wprawdzie przy przygotowywaniu premier, ale pierwsze moje samodzielne prace datują się od 1945 roku. Zaczęłam wówczas pracować w poznańskim Teatrze Lalki i Aktora, gdzie wraz z Haliną Lubicz stworzyłyśmy tzw. żywy plan. Uczyłam także dykcji w Studio Dramatycznym działającym przy Teatrze Polskim. Wtedy właśnie moje „ciągoty reżyserskie" zaczęły przybierać kształt konkretny. Wyreżyserowałam m. in. „Podlotka" Urbańskiego i „Poemat pedagogiczny" Makarenki. W 1951 roku objęłam kierownictwo artystyczne teatru w Gnieźnie. W tych czasach do uczniów moich zaliczali się znani obecnie aktorzy — Balicka, Deskur, Józefowicz i Chamiec.

— W 1954 r. przeniosła się pani do Torunia. Co było powodem tej zmiany?

— Już wcześniej reżyserowałam tu gościnnie „Małżeństwo Kreczyńskiego" i jakoś doszliśmy do porozumienia z dyrektorem J. Gajewskim. Zostałam więc znowu kierownikiem artystycznym. Z tamtych czasów mile wspominam pracę nad „Latem w Nohant", „Tramwajem zwanym pożądaniem" i innymi sztukami pozwalającymi ukazać złożoną psychikę postaci.

— Interesuja panią przede wszystkim sztuki kameralne?

— Tak się złożyło, że większość przedstawień jakie do tej pory reżyserowałam były to sztuki psychologiczne, kameralne. Interesuje mnie przede wszystkim człowiek, hołduję teatrowi emocjonalnemu. Uważam, iż reżyseria jest ogromnie wciągającym zawodem — ze szczególną satysfakcją patrzę zawsze jak na scenie ożywają postacie, rzeczy i sytuacje.

Rozmawiała: J. OLERADZKA